

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.

ALEKSANDRA GALANT: **To są Audycje Kulturalne, podcast Narodowego Centrum Kultury, przy mikrofonie Aleksandra Galant. Dzisiejsze spotkanie chciałabym zacząć od słów wiersza. Wiersza, wierszyka, utworu poetyckiego. To są słowa, które napisał Miron Białoszewski. Myślę, że trochę Was w ten sposób zaskoczę, bo to nie jest fragment, fraza żadnego z jego najbardziej znanych utworów, natomiast sposób, w jaki ten wiersz jest skonstruowany, jest w jakiś sposób jego wizytówką, ale także wizytówką osoby, której te słowa dotyczą. "Dalekoczułka, skórowidzka, duszoczułka, sobiewmawiaczka i depresjonofesjonistka". Wierście, że to jest łamaniec językowy, który bardzo trudno mi było kilkakrotnie przeczytać, ale było warto, dlatego że te wszystkie neologizmy Miron Białoszewski stworzył po to, żeby opisać Jadwigę Stańczakową. To jest prozaiczka, poetka, myślę, że też bardzo ważna osobowość dla świata literackiego. Osoba, którą możemy poznać z trochę innej strony, bardziej prywatnej, bardziej tajemniczej, takiej momentami nawet onirycznej, dzięki książce "Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej", którą napisała wnuczka głównej bohaterki, wnuczka Jadwigi Stańczakowej, Justyna Sobolewska, krytyczka literacka i dziennikarka "Polityki", która przyjęła zaproszenie i dzisiaj o tej książce, o swoich poszukiwaniach zgodziła się opowiedzieć. Witam w Audycjach Kulturalnych.**

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Dzień dobry.

ALEKSANDRA GALANT: **Pytań na początek miałam bardzo wiele, ale pomyślałam sobie, że zawsze dobrze zaczynać jest od początku, a początkiem książki jest okładka. I ta okładka już bardzo zwraca uwagę, zwraca uwagę nie tylko przepięknym zdjęciem pani Stańczakowej, ale zwraca też uwagę feerią barw. Tych kolorów jest bardzo dużo w dużym natężeniu, które może być zaskakujące. I o te barwy, i kolory chciałam panią zapytać na początek, dlatego że one odgrywają w książce bardzo ważną rolę. Może nawet nie tyle w książce, co w historii pani babci. Te kolory się tam często pojawiają jako barwy kwiatów, jako charakterystyki sukienek, jako słowa, które określają świat, a przecież od pewnego momentu pani babcia już tych kolorów nie widziała.**

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Jadwiga Stańczakowa, moja babcia... Najbardziej brakowało jej kolorów. Ona straciła wzrok po wojnie, miała wtedy tak coś około 30 lat i rzeczywiście myślała, że świat kolorów jest dla niej absolutnie utracony. Te kolory do niej wracały we wspomnieniach i w literaturze, bo kiedy zaczęła pisać, to zaczęła przypominać sobie te kolory i właśnie opowiadać mi też, ja byłam wtedy dzieckiem w latach 90., 80., kiedy mi opowiadała, ale te kolory zaczęły do niej wracać też inaczej. Te wszystkie neologizmy, które napisał Miron Białoszewski, dotyczą tego, że ona zaczęła poszukiwać innych form widzenia. I to jest ta właśnie "skórowidzka", to jest dermoptyka, którą zaczęła ćwiczyć razem z Lechem Emfazym

Stefańskim, ale przede wszystkim w latach 90. zaczęła się moda na medytację transcendentalną. I ona jedna z pierwszych po prostu pobiegła ćwiczyć medytację i w tych medytacjach zaczęła mieć rozmaite wizje kolorów. I te kolory zaczęły do niej wracać w jakiś taki zintensyfikowany sposób, bo zawsze miała to poczucie, że ktoś jej opowiada, że coś jest jakieś. Ona sobie mogła to wyobrazić, ale zawsze czuła ten swój brak. A kiedy zaczęła mieć te wizje różne kolorystyczne, to zaczęła mieć poczucie, że widzi, że ma coś swojego, coś innego, że te barwy do niej wracają. Co prawda akurat kolor zielony, który był jej ulubiony, jakoś nie mógł do niej wrócić, ale właśnie czerwony, pomarańczowy, fioletowy, jakieś wizje kwietne, ogniste, wszystko to zaczęła jakoś tam na swój sposób widzieć. Więc te kolory są bardzo ważne. Na tej okładce bardzo ważne są też oczy, bo właśnie to jest coś, co... Te oczy patrzą na nas, na czytelników. Prosto, prosto w nas. A te oczy są właśnie czymś utraconym. Znaczą świat, który widziała swoimi błękitnymi oczami, był utracony. I oczywiście te różne sposoby poszukiwania innego widzenia nie zwróciły jej całkiem tego świata, ale właśnie pojawiła się literatura, do której zachęcił ją Miron Białoszewski, on właśnie był takim katalizatorem, że ona zaczęła pisać sama.

ALEKSANDRA GALANT: Ja zaczęłam naszą rozmowę od przytoczenia słów, które napisał Miron Białoszewski z lektury książki lub też z wcześniejszej znajomości filmu Andrzeja Barańskiego. Ja wiedziałam, że to była niezwykle ważna, mocna przyjaźń, mówię o Mironie Białoszewskim i Jadwidze Stańczakowej, natomiast ja sobie pomyślałam, że nie chciałabym, żeby Miron Białoszewski zrobił to, co mu się bardzo często zdarza robić, to znaczy żeby zdominował towarzystwo i zdominował rozmowę, bo też rozumiem, że wszystko, co robiła pani babcia, robiła z własnej woli, z własnego wyboru, natomiast tej jej roli takiej kapłanki czy strażniczki pamięci po Mironie Białoszewskim jakoś tak najmniej uwagi chciałabym poświęcić, bo myślę, że jest o wiele więcej aspektów, które rzadziej są omawiane, są jakoś uwypuklane. Pani powiedziała o dermoptyce i to wywołało moje skojarzenie z pierwszymi słowami, które pojawiają się na kartach książki, mianowicie pani tam mówi, że był moment, w którym okazało się, że bardzo jest wiele różnic między panią a panią babcią. Takich różnic, które trudno jest połączyć. Pani babcia w pewnym momencie bardzo wciągnęła się w ten świat medytacji, dermoptyki, ale także jakichś skojarzeń onirycznych, astrologicznych, parapsychologicznych, tych wszystkich bardzo tajemniczych, tymczasem pani stawiała na takie trochę bardziej konkretne i ugruntowane formy poznawania świata. Ale to jest też potężny kontrast z tym, jak pani opisuje babcię, jaką była w młodości, kiedy przeżyła dramat wojny, dramat getta, tego, co się działo tuż po wojnie i wielokrotnie na kartach książki pojawia się, że jej udało się to przetrwać dzięki samozaparcu, dzięki ogromnej wewnętrznej dyscyplinie, dzięki temu, że do wielu rzeczy umiała się zmusić albo sobie odmówić. Więc ta różnica między tym, co nią kierowało w młodości, a co zafascynowało ją już pod koniec życia, jest ogromna.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Ona mówiła, że to są dwie różne osoby. I to właśnie ta babcia, którą ja znałam, Jadwiga, to była osoba niesłychanie zorganizowana, uporządkowana, wręcz taki po prostu dowódca. Ona była naszym dowódcą. Przynosiła rozpiszkę, co mamy robić, cały dzień

był uporządkowany. Ale ona była kiedyś inna. Właśnie to było to, co mnie zaskoczyło, bo ona, zapisując, patrząc na mnie, kiedy ja miałam lat 19 i byłam po prostu młodą dziewczyną, która interesowała się życiem po prostu, i patrząc na mnie, ona sobie pomyślała: "Ja kiedyś byłam taka sama. Właśnie byłam bałaganiarą na przykład". Ja bym w to nie mogła uwierzyć, bo moja babcia jako niewidoma musiała swój świat zbudować na nowo, świat uporządkowany, żeby się w nim nie zagubić, musiała mieć wszystko pod kontrolą, bo przecież niewidomy nie wie, gdzie położył leki. Znaczący nawet jeżeli wie, a tej fiołki nie ma, no to jest dramat, sam sobie musi poradzić, więc po prostu absolutny, skrajny porządek musiał w niej być i skrajne takie właśnie zaplanowanie dnia, też w związku z tą sferą psychiczną. Ta historia to jest też historia o ciemnej stronie, czyli właśnie o depresji, w której się pogrąża, o tych właśnie zapaściach. I w tym też dyscyplina ratowała ją. Więc rzeczywiście to były dwie różne osoby przed wojną i po wojnie. Ta Jadwiga właśnie pełna życia, która wyjeżdża z dwoma chłopakami, nie wie, którego wybrać jeszcze, chciałaby mieć dwóch na raz, tych chłopaków. Trudno mi było uwierzyć, kiedy właśnie to znalazłam w jej zapiskach. Trochę mi też opowiadała, ja właśnie byłam przesiąknięta w dzieciństwie jej opowiadaniem sprzed wojny. One mnie fascynowały, bo ona pamiętała właśnie swoje sukienki, kolory ubrań, materiały, kwiaty, po prostu nazwy kwiatów, których ja w ogóle nie znałam. Tak że to był taki barwny świat, który odmalowywała przede mną. Bardzo się cieszę, że mówiła pani o tej właśnie dominacji Mirona, bo to jest tak, że ona trochę została w pamięci... Po pierwsze w ogóle nie została, bo mało kto o niej pamięta. Znaczący oczywiście dzięki filmowi i roli Krystyny Jandy jakoś jest być może w pamięci, ale przede wszystkim została jako ta sekretarka Białoszewskiego. Niewidoma sekretarka. Paradoks. Świetnie zorganizowana, która wszystko załatwi. Tymczasem właśnie jej droga twórcza jest bardzo ciekawa i chciałam w tej książce ją właśnie tak wyjąć z tego cienia, i pokazać niesłuchanie silną osobowość twórczą, artystkę, która nawet jak jej ktoś wyrzuca wiersze i mówi: "To jest niedobre", ona mówi: "Ale ja będę pisać". I pisze, i pisze. Większość z tego trafiła do szuflady, do teczek, nikt tego nie poznał. Myślę, że to jest dobry czas, 30 lat później prawie, żeby ona jakoś wróciła mocno. Myślę, że też jest taki czas teraz, żeby te kobiety, które są w kręgu wielkich artystów, żeby też same mogły mówić. I trochę po to jest ta książka.

ALEKSANDRA GALANT: Tym bardziej że ona była, tak wnioskuję z książki, po tym, co w niej przeczytałam, poetką, prozaiczką bardzo kreatywną, bo o tym chyba świadczy to, że stworzyła chociażby prozinkę, czyli bardzo małe formy. Ale w temacie haiku ona także eksperymentowała. To haiku europejskie bodaj, prawda? To też są formy dopasowane do niej. A mam nadzieję, że troszkę kończąc wątek Mirona Białoszewskiego i tego podejścia do poezji, to w książce pani przytacza słowa, które ona wspominała, że on powiedział, że: "Kolejna baba z wierszami, że kolejna z wierszami do recenzowania". Ona się nie poddała, chociaż ten debiut przypadł dosyć późno, bo to jest końcówka lat 70., 1979 rok, czyli pani babcia ma 60 lat.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Tak, to jest bardzo, myślę, optymistyczne, że właściwie jej pełna droga twórcza zaczyna się po sześćdziesiątce. I w ogóle jej życie, jakiś taki rozkwit życia towarzyskiego i tego artystycznego to jest... Oni się poznają z Mironem, kiedy ona ma 52 lata chyba czy nawet 56, no w każdym razie po pięćdziesiątce, a debiutuje mając lat 60. Później

następuje dekada, lata 80., kiedy ona bardzo dużo pisze i dużo wydaje. To są 3 tomy prozy i 3 tomy poezji. Więc rzeczywiście, no po prostu nigdy nie jest za późno. Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć pisać, jeśli się ma w sobie to coś. Ona miała to i nosiła to od dawna. Myślę, że już kiedy zaczynała być dziennikarką tuż po wojnie, to już zaczęła myśleć o innego rodzaju pisaniu, o literaturze. Próbowala. Najpierw napisała jakąś powieść, którą wyrzuciła, i chyba słusznie, bo nie było to jeszcze to. Napisała też takie właśnie swoje wspomnienia dziennikarskie z końca lat 40., początek lat 50., czyli właśnie utrata wzroku i początek pracy dziennikarskiej, ale właśnie to też jeszcze nie było to. To nie była książka, którą ona powinna napisać. Dopiero właśnie "Ślepek", który się ukazał w 1982 roku, po tym już debiucie poetyckim, był tą książką, która właśnie pokazała, że ona ma warsztat, że ma historię do opowiedzenia, że może mówić śmiało o tym, że nie widzi. No zachęcił ją do tego Miron, żeby mówiła właśnie "Ślepek". Ja ślepek. To może być przecież obraźliwe, ale kiedy ona tak mówi, ona wychodzi z tym swoim niewidzeniem, z depresją, z życiem codziennym, po prostu to opisała. Ale to był stan wojenny, więc niespecjalnie ta książka miała odzew i jej twórczość dosyć była właśnie taka marginalna. A potem, kiedy nastąpiły lata 90., ona w ogóle zniknęła, co nie znaczy, że przestała pisać. To, co ja znalazłam w tych teczkach, niewydane nigdy właśnie prozinki, czyli własna forma prozatorska, którą sobie wymyśliła, to są takie scenki często zakończone pointą. Przytaczam sporo prozinek, bo one są też bardzo charakterystyczne, ale też ujmujące np. codzienność w taki sposób ciekawy. Lubiła formę prozinek, która się kończy jakoś tak optymistycznie, mimo że pisała te prozinki na przykład na temat prób samobójczych. Swoich i nie swoich. Więc starała się w tej prozie właśnie móc ująć rozmaite, czasem też te podstawowe tematy, najbardziej bolesne. Czy właśnie poezja. W latach 90. zaczęła ona wydawać w czymś w rodzaju self-publishingu. To było malutkie Wydawnictwo Borgis i cały nakład leżał w domu. Więc ona już nie miała czytelników. Nie miała czytelników, w wydawnictwach leżały niewydane książki, nikt się tym nie interesował i właściwie taki był schyłek jej życia. To jest właśnie ten taki najtrudniejszy dla mnie do opisanie czas. Ona zmarła w 1996 roku i te ostatnie lata życia były bardzo ciemne. Ale ona przez ten czas cały czas pisała. Pisała dzienniki, pisała właśnie te haiku, jakieś wiersze kosmiczne. Okazywało się, że po prostu ta jej twórczość prowadzi w bardzo różnych kierunkach, bardzo ciekawych i dopiero dzisiaj to możemy zobaczyć.

ALEKSANDRA GALANT: Też nabrałam takiego przekonania w trakcie czytania, zwłaszcza tych ostatnich stron, że pisanie było dla niej sposobem na komentowanie rzeczywistości, ale też utrwalanie tego, co przeżywała, tego, co widziała. Od prozaicznych czynności i momentów, przez trudne chwile, jak pobyt w szpitalach, które też były w ten sposób komentowane. I myślę, że zbierając to wszystko razem, nawet nie próbuję odgadnąć, jakie to było uczucie, znajdowanie tego po tylu latach, zwłaszcza że o tym jeszcze nie mówiłyśmy, oprócz wierszy pani znalazła kasety. Myślę, że dla każdego z nas w tej chwili odnalezienie czy próba wysłuchania kasety magnetofonowej, co nie jest takie łatwe, bo nie dysponujemy już sprzętem, ma w sobie coś z wehikułu do przeszłości, ale kiedy jeszcze są to nagrania babci, nagrania nieznane, które pozwalają ją trochę lepiej poznać, to jest już chyba w ogóle zupełnie inny wymiar.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Ten powrót do kaset był bardzo ciekawy i to był naprawdę powrót

do przeszłości. Bo miałam zbiór kaset, to były kasety Mirona Białoszewskiego, zbiór jego nagrań, które powstawały pod wpływem mojej babci. Bo ona po prostu nagrywała wszystko, co on... Mówiła, żeby on gadał. Żeby przynosił wiersze, żeby czytał swój dziennik na gorąco, tuż po napisaniu. I ten zbiór jest dostępny, jest w Muzeum Literatury, częściowo jest zdigitalizowany. No ale właśnie są też te jej kasety, inne kasety, które chciałam wysłuchać. Okazało się, że właśnie nie działa już żaden magnetofon, więc zamówiłam coś w rodzaju magnetofonu, chińskie takie coś, plastikowe, co właśnie zaraz się popsuło, ale jednak można było odsłuchać. No i właśnie te wszystkie ruchy, ja jestem jeszcze z pokolenia, które wykonywało te ruchy, czyli właśnie do przodu, do tyłu, zatrzymanie, ale też wkręcanie się kasety, te właśnie...

ALEKSANDRA GALANT: **I ołówek...**

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Ołówek, tak. Zjawiska, które już należą naprawdę do przeszłości, wszystko to wróciło i byłam bardzo szczęśliwa, że mogę właśnie te kasety... Zresztą to też było ciekawe, bo wyciągałam zbiór kaset, które były czarne, to były kasety jeszcze takie właśnie Tonsil czy z lat 70., i one były podpisane Braille'em. Czyli ja naprawdę nic nie... Po prostu kilka kropek wypukłych z papieru przyklejonych, bo to był zbiór kaset niewidomej, więc nie były podpisane. Tak że nie wiedziałam, co jest w środku, słuchałam jedną za drugą, znajdowałam niesłychane skarby, właśnie takie, jak np. ich wspólne z Mironem opowiadanie grozy "Wydłużona ręka", które było zaginione, nikt nie wiedział, gdzie ono jest, okazało się, że jest na kasecie nagrane. Także znalazłam też bardzo ostatnie jej nagrania, które też są bardzo ciekawe. Znalazłam najpierw wzmiankę w swoim własnym pamiętniku, że ona coś takiego nagrywa. To były tanga. Czyli ona śpiewała sobie już w bardzo właśnie ciemnym czasie, kiedy już traciła kontakt z rzeczywistością, śpiewała sobie stare tanga przedwojenne i jednocześnie sama zaczynała układać jakieś tanga. Paradoks polegał na tym, że ona w ogóle nie miała głosu. To była jakby taka czynność, myślę, też lecząca dla niej. Ten rytm pomagał jej. No i właśnie wszystkie te tanga znalazłam, słuchałam ich właśnie wtedy w 1996 roku, kiedy ona była w szpitalu, to był też powrót taki do przeszłości. Teraz właśnie rozumiałam więcej. Wszystko to właśnie, to, od czego zaczynałyśmy, czyli od tych jej zainteresowań parapsychicznych, to wszystko dla mnie wtedy na bieżąco, kiedy ja miałam tych lat właśnie 19, ona opowiadała ciągle o jakichś nowych wtajemniczeniach, ja miałam do tego duży dystans i było to jednak obce dla mnie. Natomiast teraz, kiedy znalazłam jej zapiski, to jakby rozumiałam bardziej, co ona czuje. I na tym to polega, że moja perspektywa się zmieniła. Nie stosunek do tych wszystkich zjawisk, ale chciałam ją zrozumieć i chciałam pokazać, jak wygląda ten świat od wewnątrz, czyli pokazać go trochę jej słowami. Więc dlatego łatwiej mi było w to wejść i teraz jakby rozumiem ją lepiej niż wtedy w tych latach 90.

ALEKSANDRA GALANT: **Ominęłyśmy trochę jeden bardzo ważny, wydaje mi się, epizod. Oczywiście, siłą rzeczy, my nie jesteśmy w stanie streścić tutaj, przytoczyć całego życiorysu pani babci, natomiast wydaje mi się, że takim momentem ważnym również dla mnie, z takiej prywatno-zawodowej perspektywy jest ten moment, kiedy zaczyna się przygoda z dziennikarstwem i ona właściwie błyskawicznie ulega**

zmianie. Ono, to dziennikarstwo musi się zmienić pod wpływem postępującej choroby Jadwigi Stańczakowej i moment, który bardzo mnie poruszył, to była historia, kiedy mieszkała jeszcze w Lublinie i przeżyła swoją pierwszą dziennikarską porażkę. Oczywiście, gwoli ścisłości dodajmy, że wcześniej był opis sukcesów i tego, że ona w tym fachu radziła sobie całkiem dobrze. I pani opisuje moment, w którym przyszła ta pierwsza porażka, którą chyba każdy, kto tę pracę wykonuje, pamięta. Takie rzeczy zostają. Ja swoją też pamiętam, też pamiętam ten moment łkania łez i takiego palącego wstydu. Bardzo mnie poruszyło to, że to się zdarza, że rzeczywiście ludzie miewają takie chwile. Tak naprawdę bardzo krótko potem ona stała się dziennikarką "Pochodni", a "Pochodnia" to jest periodyk wydawany właśnie dla osób niewidzących, niedowidzących. W książce też pojawia się nazewnictwo, to są osoby niewidome, ociemniałe i, jak pani babcia o sobie mówiła, niedoślepte.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Ona była ociemniała, czyli utraciła wzrok w pewnym momencie, miała pamięć wcześniejszego świata, ale używała słowa niewidoma, które jest przeznaczone dla osób, które nigdy nie widziały. Rozszerzała to pojęcie. I rzeczywiście ten moment bardzo dla mnie też był poruszający, właśnie z tego powodu, że też jestem dziennikarką i nawet nie wiedziałam, ja jako dziecko czy jako młoda osoba nie interesowałam się tym za bardzo, co ona robiła wcześniej. Że była właśnie taką dziennikarką, taką prawdziwą reporterką. I to jeszcze zaczynała w czasach, kiedy się budowała prasa i radio po wojnie. I rzeczywiście jej pierwsze zlecenie, pierwsze zadanie dziennikarskie było niesłychanie trudne, bo to były procesy oprawców wojennych. I była na przesłuchaniu kapo, a jednocześnie cały czas myślała o swoim bracie, który został zabrany w 1940 roku, o którym oni nic nie wiedzieli, nawet po wojnie nie mieli potwierdzenia jego śmierci, więc nie wiedzieli, co się z nim stało. Wyobrażali sobie, że trafił właśnie do Auschwitz i tam zginął, że ten kapo mógł go bić. Więc ona, siedząc na tej sali rozpraw, widziała, to była jej sprawa, jej sprawa osobista. No i potem rzeczywiście nie dała rady tego napisać w taki sposób, żeby to się podobało w redakcji i to była ta jej pierwsza porażka. Jadwiga była osobą, która te porażki przekształcała w siłę. Tych porażek było bardzo wiele. Później, kiedy zaczęła pracować na Wybrzeżu, bo przeniosła się właśnie z Lublina do Gdańska, żeby zakładać pierwszą radiostację Radio Gdańsk, co też dla mnie było poruszające, bo ta pierwsza radiostacja to były takie szczekaczki na ulicach. Nikt nie miał jeszcze odbiorników radiowych, więc po prostu chodziło się po ulicy słuchać wiadomości. I ona przygotowywała pierwszą polską audycję w Gdańsku. To też było wielkie wyzwanie, ale tutaj nie było żadnej porażki, bo dobrze jej poszło i była bardzo poruszona tym. Później zaczęła pracować w "Dzienniku Bałtyckim", no ale zaczął się czas stalinowski, czyli współzawodnictwo pracy. Możemy to pamiętać np. z "Człowieka z marmuru", czyli to właśnie układanie cegieł na czas, kto wyrobi 120% normy, a ona traciła wzrok, więc nie mogła już wyrobić żadnej normy. Zaczęła być w tym zespole najgorsza, co było dla niej, osoby niezwykle ambitnej, bardzo trudne do zniesienia. Wtedy też sypało się jej życie osobiste, urodziła córkę, okazało się, że mąż już ma inną osobę. Nie rozstali się tylko dlatego, żeby zostać z córką, czyli z moją mamą, więc wszystko było źle, wszystko było w rozsypce. Jej kariera widzącej dziennikarki zakończyła się porażką, bo musiała odejść z tego "Dziennika Bałtyckiego" i nie miała żadnej pracy. I w tym momencie spotkała redaktora "Pochodni". Prasa dla niewidomych dopiero się tworzyła w Warszawie, oni się właśnie przenieśli z Gdańska do Warszawy, i z nim się spotkała. Nie

wiedziała nic, że istnieje Braille, że można być dziennikarką dla niewidomych. Była po prostu przekonana, że jej życie się skończyło, a była osobą, była kobietą, która chciała pracować. To też jest ważne, bo ta jej ścieżka rozwoju była dla niej zawsze niesłychanie ważna i napotykała naprawdę poważne przeszkody. Utrata wzroku jest przede wszystkim takim zdarzeniem, które mogło ją absolutnie załamać, mogła ograniczyć swoje życie do 4 ścian domu i czynności domowych, tymczasem ona chciała robić to, do czego miała zdolności, więc udało jej się zostać tą dziennikarką. Sama się nauczyła Braille'a, sama się nauczyła chodzić z laską. Została nie tylko dziennikarką "Pochodni", ale redaktorką naczelną, i to w bardzo trudnych czasach, bo właśnie w latach 50. Opowiadała zabawną historię, że do czego była potrzebna redaktorka naczelną w "Pochodni"? Na przykład do tego, żeby pilnować redakcji, tych maszyn w Wigilię. Siedzieć w nocy, razem ze szczurami, w pustej redakcji.

ALEKSANDRA GALANT: **I zimnej.**

JUSTYNA SOBOLEWSKA: I zimnej, tak, tak. Ale to wszystko znosiła, była też potem w Zarządzie Związku Niewidomych, więc chodziła na te niekończące się zebrania, czego nienawidziła. Pointa była zabawna tej historii, ponieważ każde takie zebranie, gdzie już ustalono... Ona czekała tylko, żeby ustalono te rzeczy, na przykład zapomogi na niewidomych, przyznanie psów przewodników i tak dalej, i kiedy się to skończyło, była część alkoholowa. Ale ponieważ byli to niewidomi, to ona udawała, że pije i szybko myślała, żeby wrócić do domu. Tak że dla mnie to było bardzo ciekawe, bo nic o tym nie wiedziałam, o tej jej karierze dziennikarskiej i tej właśnie sile, która pozwoliła jej jednak zrealizować to, o czym marzyła.

ALEKSANDRA GALANT: **Na koniec chciałam przywołać, a właściwie sparafrazować słowa, które równie dobrze mogły otworzyć naszą rozmowę, natomiast uznałam, że one będą miały trochę inny wydźwięk w kontekście wszystkiego, co już powiedziałyśmy, a oczywiście wszystko to spotęguje lektura książki, do której oczywiście zachęcam. Jadwiga Stańczakowa, mówiąc o utracie wzroku, oczywiście mówiła o różnych wyjątkowościach, że to jest wyjątkowa niesprawiedliwość, wyjątkowa sytuacja, ale dodała, że to, co ona zyskuje, to taki większy dostęp do świata wewnętrznego, który nie ma granic, jeżeli chodzi o jego rozbudowywanie. Myślę, że do tego może odnosić się to, co mówiłyśmy o jej zainteresowaniach, o tej dyscyplinie wewnętrznej, o różnych sposobach postrzegania świata, ale wydaje mi się, że ten świat wewnętrzny jest chyba kluczowy dla zrozumienia Jadwigi Stańczakowej.**

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Ten świat wewnętrzny rozbudowywany w nieskończoność, w głąb, rzeczywiście był czymś, co ona mówiła, że zyskała, że tego być może nie miałyby, gdyby była osobą widzącą. Zastanawia się też w wierszach, czy ona by pisała wiersze, gdyby widziała. Kilka jest takich wierszy bardzo poruszających, że być może by wtedy po prostu patrzyła, a nie zapisywała. Że gdzieś literatura się brała z tego braku, który został przekształcony na jakąś wartość, właśnie na ten świat wewnętrzny, do którego tylko ona ma dostęp. To było coś

niesamowitego, ja miałam takie wrażenie właśnie, że słuchając o tych... Kiedy ona żyła, słuchając jej o tych różnych doświadczeniach, w ogóle tego nie rozumiałam, natomiast kiedy ona to zapisała, to dopiero zrozumiałam, jak ten świat był fascynujący. Że czasem nawet nie chciała z niego wracać, z tych, jak mówiła, odlotów. To są odloty, które uzyskiwała nie za pomocą substancji jakichkolwiek, tylko właśnie medytacji, tylko jakichś wizji, które miała. I tutaj jest jakieś połączenie całości jej życia, bo ona zawsze miała rozbudowaną tę część intuicji, przeczuć, że właśnie przed wojną już trochę wiedziała, co się stanie, ale też miała jakieś swoje wewnętrzne zaufanie, że uda jej się przetrwać. Później głębokie przekonanie, że trzeba wyjść z getta. Ta intuicja ocaliła nie tylko ją, ale jej rodziców, bo ich, wbrew ich woli właściwie, wyprowadziła z getta, kiedy jeszcze było można. Wiedziała, że nie można tam zostać. Tak że ta intuicja, rozbudowana intuicja była jakby wstępem do tego, czego ona później zaczęła poszukiwać i co pozwoliło jej właśnie rozwinąć literaturę, właśnie poezję czy prozę jej własną, gdzie zapisywała te swoje przeżycia. Myślę, że to jest bardzo ciekawe właśnie, że punktem dojścia jest literatura.

ALEKSANDRA GALANT: Bardzo się cieszę, że mogliśmy porozmawiać i że mogę Was z czystym sumieniem zachęcić do tego, żeby sięgnąć po książkę "Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej" i poznać Jadwigę Stańczakową z trochę innej perspektywy niż ta, która w naszej zbiorowej świadomości się utarła, tę, jaką poznaliśmy chociażby dzięki filmowi Andrzeja Barańskiego "Parę osób, mały czas". Tymczasem postać jest dużo bardziej złożona, ma dużo sekretów, tajemnic, niuansów, które naprawdę warto zgłębić, a dzisiejsza rozmowa była możliwa dzięki obecności Justyny Sobolewskiej, krytyczki literackiej i dziennikarki "Polityki", no a także autorki książki "Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej". Bardzo pani dziękuję za tę rozmowę.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Bardzo dziękuję.

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.